

NAJGROŹNIEJSZE DRAPIEŻNIKI POLUJĄ NOCĄ

TESS GERRITSEN

Umrzeć
po raz drugi



Rozdział pierwszy

DELTA OKAWANGO, BOTSWANA

Dostrzegam go w padających ukośnie promieniach porannego słońca. Jest ledwo widoczny, jak znak wodny odcisnięty w ziemi. Gdyby było południe, kiedy padające pionowo promienie afrykańskiego słońca palą i oślepiają, mogłabym go w ogóle nie zauważyć, ale o świcie w nawet najmniejszych zagłębieniach terenu są ocienione miejsca, więc kiedy wychodzę z namiotu, ten pojedynczy ślad przyciąga mój wzrok. Przykucam obok niego i nagle przenika mnie dreszcz, gdy uświadamiam sobie, że podczas snu chroniła nas tylko cienka warstwa brezentu.

Richard wychodzi z namiotu i przeciąga się z pomrukiem zadowolenia, wdychając zapachy zroszonej trawy, dymu drzewnego i śniadania przyrządzanego nad ogniskiem. Zapachy Afryki. Ta przygoda to spełnienie jego marzeń. Jego, nie moich. Jestem uległą dziewczyną, która mówi pokornie: „Oczywiście, zgadzam się, kochanie”. Nawet gdy oznacza to dwudziestoosmiodzinną podróż z Londynu do Johannesburga, a potem do Maun i w głąb buszu trzema

różnymi samolotami, z których ostatni jest rozklekotanym rzęchem z pilotem na kacu. Nawet gdy trzeba spędzić dwa tygodnie w namiocie, opędzać się od komarów i sikać za krzakami.

Nawet jeśli mogę zginąć, bo właśnie o tym myślę, wpatrując się w ten ślad, odcisnięty w ziemi zaledwie metr od miejsca, w którym Richard i ja spaliśmy tej nocy.

– Czujesz to powietrze, Millie? – pieje z zachwytem Richard. – Nigdzie indziej tak nie pachnie!

– Był tutaj lew – mówię.

– Chciałbym zamknąć je w butelce i zabrać do domu. To byłaby dopiero pamiątka! Zapach buszu!

Wcale mnie nie słucha. Zanadto upaja go Afryka, pochłania urojony świat wielkiego białego podróżnika, gdzie wszystko jest „cudowne” i „fantastyczne”, nawet wczorajsza kolacja, złożona z wieprzowiny i fasoli, którą uznał za „najlepszą, jaką kiedykolwiek jadł!”.

– Był tutaj lew, Richard – powtarzam głośniej. – Tuż obok naszego namiotu. Mógł rozedrzeć go pazurami i dostać się do środka. – Chcę wzbudzić jego niepokój, chcę, żeby powiedział: „O Boże, Millie, to poważna sprawa”.

A on tymczasem woła niefrasobliwie do znajdujących się najbliżej członków naszej grupy:

– Hej, zobaczcie! Mieliśmy tu zeszłej nocy lwa!

Pierwsze podchodzą dwie dziewczyny z Kapsztadu, które rozbiły namiot obok naszego. Sylvia i Vivian mają holenderskie nazwiska, których nie potrafię ani przeliterować, ani wymówić. Obie są opalonymi, długonogimi blondynkami w wieku dwudziestu paru lat.

Początkowo nie umiałam ich rozróżnić, dopóki Sylvia nie burknęła w końcu zirytowana:

– Nie jesteśmy bliźniaczkami, Millie! Nie widzisz, że Vivian ma niebieskie oczy, a ja zielone?

Gdy dziewczyny przyklękają koło mnie z obu stron, żeby przyjrzeć się odciskowi łapy, czuję, że pachną też różnie. Niebieskooka Vivian emanuje zapachem słodkiej trawy, świeżą, pozbawioną cierpkiej nuty wonią młodości. Sylvia pachnie olejkiem z trawy cytrynowej, którym smaruje się zawsze, aby odstraszyć komary, bo „DEET to trucizna, wiesz o tym, prawda?”. Otoczona przez dwie blond boginie widzę, że Richard znów gapi się na biust Sylvii, wyeksponowany prowokująco pod koszulką z mocno wyciętym dekoltem. Jak na dziewczynę, która tak się troszczy, by nacierać ciało środkiem przeciw komarom, odsłania zatrważająco dużą powierzchnię narażonej na ukąszenia skóry.

Naturalnie Elliot też szybko do nas dołącza. Nigdy nie oddala się zbyt od blondynek, które poznał dopiero kilka tygodni temu w Kapsztadzie. Przywiązał się do nich jak wierny szczeniak, liczący na odrobinę uwagi.

– Czy to świeży ślad? – pyta zatroskanym głosem. Przynajmniej ktoś podziela mój niepokój.

– Nie widziałem go tu wczoraj – odpowiada Richard. – Lew pojawił się zapewne w nocy. Wyobraź sobie, że wychodzisz się wysikać i natykasz się na niego. – Naśladuje ryk lwa i wyciąga rękę z palcami zakrzywionymi jak pazury w kierunku Elliota, a ten cofa się przerażony. Richard i blondynki wybuchają śmiechem, bo Elliot jest ich

nadwornym błaznem, wiecznie zatroskanym Amerykaninem, który ma zawsze w kieszeniach chusteczki higieniczne, spray przeciw owadom, krem z filtrem przeciwsłonecznym i płyn dezynfekujący, lekarstwa na alergię, tabletki jodyny i wszelkie inne akcesoria niezbędne do tego, by pozostać przy życiu.

Nie śmieję się razem z nimi.

– Ktoś mógł zginąć – rzucam.

– Ale to się zdarza na safari, prawda? – mówi radośnie Sylvia. – Jesteś w buszu z lwami.

– Nie wygląda na bardzo duży okaz – stwierdza Vivian, pochylając się, by obejrzeć ślad. – Może to samica, jak sądzisz?

– Samiec czy samica, tak samo może cię zabić – odpowiada Elliot.

Sylvia poklepuje go.

– O, boisz się?

– Nie. Myślałem po prostu, że Johnny przesadza, gdy mówił nam pierwszego dnia: „Nie wychodźcie z jeepa ani z namiotu, bo zginiecie”.

– Jeśli chcesz być całkowicie bezpieczny, Elliot, może powinieneś być pójść do zoo – radzi mu Richard i blondynki śmieją się z tej ciętej uwagi. To cały on, samiec alfa. Jak bohaterowie jego powieści, jest człowiekiem, który przejmuje dowodzenie i ratuje sytuację. Albo przynajmniej tak mu się wydaje. Tu, w buszu, jest tak naprawdę tylko jeszcze jednym zagubionym londyńczykiem, ale udaje eksperta w sztuce przetrwania. To kolejna rzecz, która irytuje mnie tego ranka, jakby nie dość było, że jestem

głodna, źle spałam, a teraz dopadły mnie komary. Zawsze mnie dopadają. Gdy tylko wychodzę z namiotu, słyszą jakby dzwonek na obiad i muszę natychmiast klepać się po szyi i twarzy.

– Clarence, podejdź tu! – woła Richard do afrykańskiego tropiciela. – Zobacz, jakieś zwierzę przeszło nocą przez obóz.

Clarence popijał kawę przy ognisku z państwem Matsunaga. Teraz idzie powoli w naszym kierunku, niosąc blaszany kubek z kawą, po czym przykuca, aby spojrzeć na odcisk w ziemi.

– To świeży trop – mówi Richard, nowy ekspert od buszu. – Lew musiał tędy przechodzić niedawno.

– To nie lew – oznajmia Clarence. Spogląda na nas, mrużąc oczy, a jego hebanowa twarz lśni w porannym słońcu. – To pantera.

– Jak możesz być pewny? To tylko odcisk jednej łapy. Clarence kreśli w powietrzu kółko nad śladem.

– Widzi pan, to przednia łapa. Ślad jest okrągły, taki jaki zostawia pantera. – Wstaje i rozgląda się. – To jedno zwierzę, więc poluje samotnie. Tak, to pantera.

Pan Matsunaga pstryka zdjęcia śladu swym gigantycznym nikonem, który ma teleobiektyw jak wyrzutnia statku kosmicznego. On i jego żona noszą identyczne kurtki safari, spodnie khaki, bawełniane chusty i kapelusze z szerokim rondem. Są dopasowani ubiorem w najdrobniejszym szczególe. W kurortach turystycznych na całym świecie spotyka się takie pary, odziane bliźniaczo w cudaczne stroje. Człowiek zastanawia się, czy budzą się pewnego

ranka z postanowieniem: „Pozwalamy dziś światu, żeby się z nas pośmiał”.

Gdy słońce wznosi się wyżej i znikają cienie, dzięki którym widać było tak wyraźnie odcisk łapy, inni także robią zdjęcia, by zdążyć, nim światło stanie się zbyt ostre. Nawet Elliot wyciąga kieszonkowy aparat, zapewne dlatego, że nie chce być gorszy od pozostałych.

Tylko ja nie idę w ich ślady. Richard robi wystarczająco dużo zdjęć za nas oboje, używając swego canona, „takiego samego aparatu, z jakiego korzystają fotoreporterzy National Geographic!”. Przesuwam się w cień, ale nawet tutaj, nie stojąc w słońcu, czuję strużki potu pod pachami. Zaczyna się upał. W buszu każdy dzień jest gorący.

– Teraz widzicie, dlaczego każę wam nie wychodzić nocą z namiotu – mówi Johnny Posthumus.

Nasz przewodnik podszedł tak bezgłośnie, że nie zdałam sobie sprawy, iż wrócił już znad rzeki. Odwracam się i widzę, że stoi tuż za mną. Ma ponuro brzmiące nazwisko, Posthumus, czyli pośmiertny, ale powiedział nam, że wśród afrykanerskich osadników, których jest potomkiem, występuje ono powszechnie. Widzę, że odziedziczył rysy po swych krzepkich holenderskich przodkach. Ma wypłowiałe blond włosy, niebieskie oczy i ogorzałe od słońca muskularne nogi. Jest w krótkich spodenkach koloru khaki. Najwyraźniej nie dokuczają mu komary ani upał, nie nosi też kapelusza ani nie naciera się olejkiem przeciw owadom. Dorastając w Afryce, uodpornił się na niedogodności jej klimatu.

– Przeszła tędy tuż przed świtem – mówi Johnny,

wskazując zarośla na obrzeżach obozu. – Wyszła z tamtych krzaków w kierunku ogniska i zmierzyła mnie wzrokiem. Dorodna samica, duża i zdrowa.

Zdumiewa mnie jego spokój.

– Naprawdę ją widziałeś?

– Szykowałem ognisko na śniadanie, kiedy się zjawiała.

– Co zrobiłeś?

– To, co radziłem was wszystkim zrobić w takiej sytuacji.

Stałem wyprostowany. Pozwoliłem jej zobaczyć moją twarz. Zwierzęta, na które polują mięsożercy, takie jak zebry czy antylopy, mają oczy po bokach głowy, a drapieznik ma je umieszczone z przodu. Zawsze pokazuj kotu twarz. Niech zobaczy, gdzie masz oczy, a będzie wiedział, że też jesteś drapieżką. Zastanowi się dwa razy, zanim zaatakuje.

– Johnny spogląda na siedmioro klientów, którzy płacą mu, by zachował ich przy życiu na tym odludziu. – Zapamiętajcie to, dobrze? Kiedy zapuścimy się w busz, zobaczymy następne wielkie koty. Gdybyście jakiegoś napotkali, wyprostujcie się i starajcie się wyglądać jak olbrzym. Patrzenie mu prosto w oczy. A przede wszystkim nie uciekajcie. Będziecie mieli większe szanse na przeżycie.

– Byłeś twarzą w twarz z panterą – odzywa się Elliot. – Czemu nie użyłeś tego? – Wskazuje na strzelbę, która wisi zawsze na ramieniu Johnny'ego.

Ten kręci głową.

– Nie zastrzelę pantery. Nie zabiję żadnego dużego kota.

– Ale czy nie po to jest strzelba? Żeby się bronić?

– Za mało ich już zostało na tym świecie. Ta ziemia należy do nich, a my jesteśmy tu intruzami. Nie sędzę, bym

mógł ją zabić, gdyby pantera mnie zaatakowała. Nawet po to, by ocalić życie.

– Ale to nie dotyczy nas, prawda? – Elliot śmieje się nerwowo i spogląda na swoich towarzyszy podróży. – Zastrzelilibyś panterę, żeby nas obronić, tak?

– To się okaże. – Johnny uśmiecha się ironicznie.

□ □ □

Do południa jesteśmy spakowani i gotowi ruszać dalej w głąb buszu. Johnny prowadzi ciężarówkę, a Clarence siedzi na krzeselku dla tropiciela, wystającym przed zderzak. Wydaje mi się to niebezpieczną pozycją, gdyż nogi zwisają mu swobodnie, stanowiąc łatwy łup dla lwa, który chciałby go zaatakować. Johnny zapewnia jednak, że dopóki jesteśmy w samochodzie, nic nam nie grozi, bo drapieżniki uważają nas za jedno ogromne zwierzę. „Ale zjeźdźcie tylko z ciężarówki, a staniecie się ich obiadem. Czy wszyscy to rozumieją?”

Tak jest. Wiadomość odebrana.

Nie ma tu żadnych dróg, tylko lekko zgnieciona trawa w miejscu, gdzie opony przejeżdżającego wcześniej pojazdu ubiły nieurodzajną ziemię. Johnny mówi, że szkody wyrządzone przez jedną ciężarówkę mogą zszpecić krajobraz na wiele miesięcy, ale nie wyobrażam sobie, by wiele z nich zapuszczało się tak daleko w głąb delty. Jesteśmy trzy dni jazdy od lądowiska w buszu, gdzie wysadzono nas z samolotu, i nie zauważyliśmy na tym pustkowiu żadnych innych pojazdów.

Jeszcze cztery miesiące temu, siedząc w naszym

londyńskim mieszkaniu i słuchając bębniącego o szyby deszczu, nie wierzyłam naprawdę w istnienie dżungli. Gdy Richard przywołał mnie do swego komputera i pokazał wycieczkę na safari w Botswanie, którą chciał zarezerwować dla nas na wakacje, zobaczyłam zdjęcia lwów i hipopotamów, nosorożców i panter, tych samych dobrze znanych zwierząt, które można spotkać w ogrodach zoologicznych i rezerwatach. Właśnie to sobie wyobrażałam: gigantyczny rezerwat z wygodnymi kwaterami i drogami. Przynajmniej z drogami. Zgodnie z informacją w internecie, miały być „noclegi w buszu”, ale liczyłam na wspaniałe duże namioty z prysznicami i splukiwanymi toaletami. Nie sądziłam, że zapłacę za przywilej kucania w krzakach.

Richardowi zupełnie nie przeszkadza brak luksusu. Dla niego Afryka to szczyt marzeń, wyższy niż Kilimandżaro. Gdy jedziemy, bez przerwy robi zdjęcia. Aparat siedzącego za nami pana Matsunagi klika tyle samo razy, ale ma dłuższy obiektyw. Richard nie przyzna się, że jest o to zazdrosny, ale gdy wrócimy do Londynu, zaraz wejdzie do internetu, żeby kupić lepszy sprzęt. Tak walczą współcześni mężczyźni, nie na włócznie i miecze, lecz na karty kredytowe. Moja platynowa przebija twoją złotą. Biedny Elliot ze swoją zwykłą minoltą pozostaje w tyle, ale chyba mu to nie przeszkadza, bo znów siedzi w ostatnim rzędzie, przytulony do Vivian i Sylvii. Spoglądam na ich troje i dostrzegam w przelocie zaciętą twarz pani Matsunagi. Ona też robi dobrą minę do złej gry. Jestem pewna, że wypróżnianie się w krzakach nie pasowało do jej wizji wymarzonej wakacji.

– Lwy! Lwy! – krzyczy Richard. – Tam!

Aparaty pstrykają szybciej, gdy podjeżdżamy tak blisko stada, że widzę czarne muchy przywierające do boku samca. W pobliżu są trzy samice, które spoczywają w cieniu drzewa. Nagle słyszę za sobą podniesione głosy Japończyków i odwróciwszy się, widzę, jak pan Matsunaga zrywa się z miejsca. Żona trzyma go od tyłu za kurtkę, próbując rozpaczliwie powstrzymać męża, który chce wyskoczyć z ciężarówki, by zrobić lepsze zdjęcie.

– Siadaj! – grzmi Johnny głosem, którego żadna istota, człowiek ani zwierzę, nie mogłaby zignorować. – Już!

Pan Matsunaga natychmiast opada z powrotem na siedzenie. Nawet lwy wydają się przestraszone, wpatrując się w mechanicznego potwora z osiemnastoma parami kończyn.

– Pamiętasz, co ci mówiłem, Isao? – beszta go Johnny. – Jeżeli wyjdiesz z ciężarówki, jesteś martwy!

– To z emocji. Zapominam – mruczy pan Matsunaga, przepraszająco pochylając głowę.

– Staram się tylko zapewnić wam bezpieczeństwo. – Johnny oddycha głęboko i dodaje cicho: – Przepraszam, że krzychałem. Ale w zeszłym roku kolega był na safari z parą klientów. Zanim zdołał ich powstrzymać, oboje wyskoczyli z ciężarówki, żeby zrobić zdjęcia. Lwy dopadły ich w mgnieniu oka.

– Chcesz powiedzieć, że zginęli? – pyta Elliot.

– Lwy są tak zaprogramowane, Elliot. Więc proszę, podziwiajcie widoki, ale z ciężarówki, dobrze? – Johnny śmieje się, by rozładować napięcie, ale my nadal jesteśmy

wystraszeni, jak grupa niegrzecznych dzieci, które właśnie dostały naganą. Robimy zdjęcia już bez entuzjazmu, tylko po to, by pokryć zmieszanie. Zaszokowała nas agresywna reakcja Johnny’ego. Wpatruję się w jego plecy, które mam tuż przed oczami. Mięśnie szyi ma nabrzmiąle jak grube pędy winorośli. Uruchamia ponownie silnik. Zostawiamy lwy i jedziemy dalej, do następnego obozowiska.

□ □ □

O zachodzie słońca pojawia się alkohol. Gdy rozbito pięć namiotów i rozpalono ognisko, tropiciel Clarence otwiera aluminiową skrzynkę, która przez cały dzień telepała się z tyłu ciężarówki, i wyjmuje butelki z ginem, whisky, wódką i amarulą. Ten ostatni trunek upodobałam sobie szczególnie: słodki likier wytwarzany z owoców maruli, afrykańskiego drzewa. Smakuje jak tysiąc zakrapianych alkoholem kalorii z kawy i czekolady, jak coś, czego dziecko ma ochotę spróbować ukradkiem, gdy mama nie widzi. Clarence mruga do mnie, wręczając mi szklanekę, jakbym była takim właśnie niesfornym dzieckiem, bo wszyscy inni sączą drinki dla dorosłych, ciepły gin z tonikiem albo czystą whisky. O tej porze dnia myślę: Tak, dobrze jest być w Afryce. Kiedy w miejsce wszystkich niewygód, dokuczliwych owadów i napięcia między mną a Richardem pojawia się przyjemne uczucie nieważkości i mogę usadowić się na składanym krześle i obserwować zachód słońca. Gdy Clarence przygotowuje na prosty wieczorny posiłek gulasz, chleb i owoce, Johnny rozciąga wokół obozu drut z zawieszonymi dzwoneczkami, które mają nas ostrzec w

przypadku wizyty intruza. Spostrzegam, że sylwetka Johnny'ego nagle nieruchomieje na tle zachodzącego słońca. Unosi głowę, jakby wachał powietrze, wciągając w nozdrza tysiąc zapachów, których nawet nie wyczuwam. Jest jak istota z buszu, tak oswojona z tą dziczą, że spodziewam się niemal, iż otworzy usta i zaryczy jak lew.

– Od jak dawna pracujesz z Johnnym? – zwracam się do Clarence'a, który miesza bulgoczący w kotle gulasz.

– Z Johnnym? Pierwszy raz.

– Nigdy przedtem nie byłeś jego tropicielem?

Clarence wsypuje energicznie pieprz do gulaszu.

– Mój kuzyn Abraham jest tropicielem Johnny'ego. Ale w tym tygodniu ma pogrzeb w swojej wiosce. Prosił mnie, żebym go zastąpił.

– A co Abraham mówił o Johnnym?

Clarence szczyrzy białe zęby, tak że lśnią w półmroku.

– Och, mój kuzyn opowiada o nim wiele historii. Wiele historii. Uważa, że Johnny powinien się urodzić jako Shangaan, bo jest taki jak my. Tyle że ma białą twarz.

– Shangaan? To wasze plemię?

Kiwa głową.

– Pochodzimy z prowincji Limpopo. W Republice Południowej Afryki.

– Używacie języka, którym rozmawiasz czasem z Johnnym?

Śmieje się jakby w poczuciu winy.

– Kiedy nie chcemy, żebyście wiedzieli, co mówimy.

Wyobrażam sobie, że nie jest to nic pochlebnego. Spoglądam na innych, siedzących wokół ogniska. Pan

Matsunaga przegląda skrupulatnie z żoną zdjęcia zrobione tego dnia jego aparatem. Vivian i Sylvia wylegają się w swych wydekoltowanych podkoszulkach, emanując feromonami, z powodu których nieszczęsny, niezdamy Elliot jak zwykle skamle o ich uwagę. „Nie jest wam zimno, dziewczyny?” „Przynieść wam swetry?” „Może jeszcze jeden gin z tonikiem?”

Richard wyłania się z naszego namiotu w świeżej koszuli. Obok mnie czeka na niego puste krzesło, ale mija je i siada przy Vivian, roztaczając dalej swój czar. „Jak ci się podoba nasze safari?” „Bywasz w Londynie?” „Z przyjemnością prześlę tobie i Sylwii egzemplarze *Blackjacka* z autografem, jak tylko ta książka się ukaże”.

Oczywiście, wszyscy już wiedzą, kim jest Richard. W ciągu godziny od chwili, gdy się poznali, napomknął subtelnie, że mają do czynienia z autorem thrillerów, Richardem Renwickiem, twórcą bohatera MI5, Jackmana Trippa. Niestety, nikt z nich nie słyszał dotąd o Renwicku ani o jego bohaterze, co zepsuło nieco atmosferę pierwszego dnia safari. Ale teraz Richard jest znów w formie, robiąc to, co potrafi najlepiej: czarując swoją publiczność. Myślę, że trochę przesadza. Nawet bardzo. Ale gdy później zwrócę mu uwagę, wiem dokładnie, co powie. „Pisarze muszą tak postępować, Millie. Musimy być towarzyscy i przyciągać nowych czytelników”. Zabawne, że nigdy nie traci czasu na towarzyskie pogawędki ze starszankami, jedynie z młodymi – najlepiej ładnymi – kobietami. Pamiętam, jak cztery lata temu oczarował mnie, gdy podpisywał egzemplarze książki *Opcja zbrodni* w księgarni, w której pracowałam. Kiedy

Richard poluje, trudno mu się oprzeć i widzę teraz, jak spogląda na Vivian wzrokiem, jakim nie patrzył na mnie od lat. Wsuwa w usta gauloise'a i pochyla się, by osłonić dłońmi płomień swej srebrnej zapalniczki, tak jak zrobiłby to jego bohater, Jackman Tripp, z męską nonszalancją.

Puste krzesło obok mnie jest jak czarna dziura, wysysająca z mojej duszy wszelką radość. Jestem gotowa wstać i wrócić do namiotu, gdy nagle Johnny sadowi się przy mnie. Nic nie mówi, po prostu przygląda się wszystkim, jakby nas oceniał. Myślę, że zawsze to robi, i zastanawiam się, jak mnie postrzega. Czy jestem jak inne pogodzone z losem żony i przyjaciółki, zaciągnięte do buszu, aby zaspokoić fantazje swoich mężczyzn?

Drażni mnie jego wzrok i czuję potrzebę przerwania ciszy.

– Czy te dzwoneczki na drucie wokół obozu rzeczywiście działają? – pytam. – Czy są tylko po to, żebyśmy czuli się bezpieczniej?

– Mają nas ostrzec.

– Nie słyszałam ich w nocy, gdy do obozu weszła pantera.

– Ja słyszałem. – Johnny pochyla się i dorzuca drew do ognia. – Dziś w nocy pewnie znów zabrzęczą.

– Myślisz, że czai się tu więcej panter?

– Tym razem chodzi o hieny. – Wskazuje w mrok za kręgiem światła z ogniska. – Kilka z nich właśnie nam się przygląda.

– Co? – Wpatruję się w ciemność. Dopiero teraz zauważam blask ognia odbity w ślepiach.

– Są cierpliwe. Czekają na jakąś padlinę. Wyjdź sama poza obóz, a staniesz się ich posiłkiem. – Wzrusza

ramionami. – Po coś w końcu mnie wynajęliście.

- Żebyśmy nie skończyli jako obiad.
- Nie płacono by mi, gdybym tracił zbyt wielu klientów.
- Zbyt wielu... to znaczy ilu?
- Ty byłabyś dopiero trzecia.
- To żart, prawda?

Uśmiecha się. Choć jest mniej więcej w tym samym wieku co Richard, ma zmarszczki wokół oczu od afrykańskiego słońca. Kładzie mi uspokajająco dłoń na ramieniu, co mnie zaskakuje, bo nie należy do ludzi, którzy bez potrzeby kogoś dotykają.

- Tak, to żart. Nigdy nie straciłem klienta.
- Trudno wyczuć, kiedy mówisz poważnie.
- Jak nie będę żartował, zorientujesz się. – Odwraca się do Clarence'a, który powiedział do niego coś właśnie w języku plemienia Shangaan. – Kolacja gotowa.

Spoglądam na Richarda, żeby sprawdzić, czy zauważył, że Johnny ze mną rozmawiał, trzymając mi rękę na ramieniu. Ale jest tak wpatrzony w Vivian, jakbym była niewidzialna.

□ □ □

– Pisarze muszą tak postępować – oznajmia Richard, jak było do przewidzenia, gdy leżymy tej nocy w namiocie. – Zdobywam tylko nowych czytelników. – Rozmawiamy szeptem, bo brezent jest cienki, a namioty stoją blisko siebie. – Poza tym czuję się trochę ich opiekunem. Dwie samotne dziewczyny w buszu. Wykazują się sporą odwagą, a mają dopiero dwadzieścia parę lat, nie sądzisz? Należy je za to podziwiać.

– Elliot najwyraźniej to robi – zauważam.
– Elliot podziwiałby wszystko, co ma dwa chromosomy X.

– A więc nie są całkiem samotne. Bierze udział w wycieczce, żeby dotrzymać im towarzystwa.

– Boże, to musi być dla nich męczące. Nie odstępuję ich na krok i robi słodkie oczy.

– Dziewczyny go zaprosiły. Tak twierdzi.

– Zaprosiły go z litości. Przysiadł się do nich w jakimś nocnym klubie i usłyszał, że jadą na safari. Powiedziały zapewne: „Hej, powinieneś też się wybrać do buszu!”. Z pewnością nie przypuszczały, że się zdecyduje.

– Dlaczego ciągle się go czepiasz? Jest bardzo miły. I świetnie zna się na ptakach.

Richard prychnął pogardliwie.

– To zawsze takie atrakcyjne w mężczyźnie.

– Co się z tobą dzieje? Czemu jesteś taki drażliwy?

– Mógłbym powiedzieć to samo o tobie. Gawędzę sobie tylko z młodą kobietą, a ty nie możesz tego znieść. Te dziewczyny potrafią się przynajmniej dobrze bawić. Umieją korzystać z życia.

– Naprawdę staram się cieszyć tą wyprawą. Ale nie sądziłam, że będzie tu tak prymitywnie. Oczekiwałam...

– Puszystych ręczników i czekoladek na poduszcze.

– Doceń to, że tu jestem.

– I cały czas narzekasz. To safari było moim marzeniem, Millie. Nie rujnuj mi go.

Nie mówimy już szeptem i jestem pewna, że jeśli inni jeszcze nie śpią, to nas słyszą. Wiem, że Johnny czuwa, bo

pierwszy pełni wartę. Wyobrażam sobie, jak siedzi przy ognisku, słuchając naszych coraz bardziej podniesionych głosów. Z pewnością wyczuwa narastające między nami napięcie. Johnny Posthumus jest typem człowieka, który wszystko zauważa, bo to umożliwia mu przetrwanie w takim miejscu, gdzie umiejętność usłyszenia zawieszono na drucie dzwonka wyznacza granicę między życiem a śmiercią. Jakimi beużytecznymi, powierzchownymi ludźmi musimy mu się wydawać! Ile małżeństw rozpadło się na jego oczach, ilu butnych mężczyzn upokorzyła w jego obecności Afryka? Busz to nie jedynie cel wakacyjnej podróży. Człowiek może się tam nauczyć, jak niewiele naprawdę znaczy.

– Wybacz – szepczę, biorąc Richarda za rękę. – Nie chcę psuć ci tej podróży.

Choć wplątam palce w jego dłoń, nie odwzajemnia uścisku. Jego ręka jest jak martwa.

– Już wszystko zepsułaś. Wiem, że to nie są twoje wymarzone wakacje, ale, na litość boską, dość tej ponurej miny! Zobacz, jak Sylvia i Vivian dobrze się bawią! Nawet pani Matsunaga potrafi się dostosować.

– Może to wszystko z powodu tych tabletek przeciwko malarii, które biorę – sugeruję nieśmiało. – Lekarz powiedział, że mogą wywoływać depresję. A u niektórych pacjentów nawet obłąd.

– Cóż, mnie jakoś meflokina nie szkodzi. Dziewczyny też ją biorą i są w dobrych nastrojach.

Znowu dziewczyny. Wciąż porównuje mnie z kobietami, które są dziewięć lat młodsze ode mnie, o dziewięć lat

szczuplejsze i atrakcyjniejsze. Jak po czterech latach dzielenia tego samego mieszkania i toalety którakolwiek kobieta może wydawać się nadal atrakcyjna?

– Powinam przestać brać tabletki – mówię.

– I złapać malarię? No tak, to ma sens.

– Więc co mam zrobić? Richard, powiedz mi, co mam zrobić!

– Nie wiem. – Wzdycha i odwraca się ode mnie. Jego plecy są jak zimny beton, mur, który otacza serce, zagrządzając mi do niego dostęp. Po chwili dodaje cicho: – Nie wiem, dokąd zmierzamy, Millie.

Ale ja wiem, dokąd on zmierza. Oddała się ode mnie. Robi to od miesięcy, tak dyskretnie, tak stopniowo, że dotąd tego nie zauważałam. Mogłam to skwitować stwierdzeniem: „Och, jesteśmy ostatnio oboje tacy zajęci”. On pracował intensywnie nad ostatnimi poprawkami do *Blackjacka*. Ja borykałam się z doroczną inwentaryzacją w księgarni. Nasze relacje się poprawiają, gdy zwolnimy nieco tempo życia. Wciąż to sobie powtarzałam.

Poza naszym namiotem noc pulsuje odgłosami delty. Obozujemy niedaleko rzeki, gdzie wcześniej widzieliśmy hipopotamy. Wydaje mi się, że słyszę je teraz, razem ze skrzekami, wrzaskami i pomrukami niezliczonych innych stworzeń.

Ale wewnątrz namiotu panuje cisza.

A więc w takim miejscu umiera miłość. W namiocie, w buszu, w Afryce. Gdybyśmy byli w Londynie, wyskoczyłabym z łóżka, ubrała się i poszła do przyjaciółki, by się jej wyzalić i napić się brandy. Ale tutaj jestem

uwięziona w brezentowej pułapce, otoczona przez świat, który chce mnie pożreć. Uczucie klaustrofobii sprawia, że pragnę rozpaczliwie rozerwać paznokciami namiot i uciec z krzykiem w mrok. To pewnie te tabletki przeciw malarii mącą mi umysł. Chcę, żeby tak było, bo to by oznaczało, że nie ze swojej winy czuję się tak beznadziejnie. Naprawdę muszę przestać je brać.

Richard zapadł w głęboki sen. Jak może spać tak spokojnie, gdy ja mam wrażenie, że za chwilę eksploduję? Słucham jego odprężonego, miarowego oddechu, który świadczy o tym, że nic go nie obchodzi.

Nadal mocno śpi, kiedy budzę się następnego ranka. Gdy blade światło brzasku przenika przez brezent namiotu, myślę ze strachem o czekającym nas dniu. O uciążliwej jeździe ciężarówką, gdy będziemy siedzieli obok siebie, starając się zachowywać w cywilizowany sposób. O pladze komarów i sikaniu w krzakach. O kolejnym wieczorze, kiedy będę patrzyła, jak Richard flirtuje z dziewczynami, i czuła, że pęka mi serce. Myślę, że te wakacje nie mogą już być gorsze.

I wtedy słyszę przeraźliwy krzyk kobiety.